ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. Stycznia | Ner 1. | Roku 1843.

ZAŚLUBINY

NA RUSZTOWANIU.

(Z Francuzkiego pana Dumas.)

Jednego dnia, w roku 1501 pozawieszano na rogach ulic w Neapolu następujące uwiadomienie:

»Kto kalabryjskiego bandytę Rocco del Piz»zo, żywcem lub trupem w ręce sprawiedli»wości przystawi, otrzyma w nagrodę cztéry »tysiące dukatów.«

»IZABELA,
rejentka aragońska.'

W trzy dni potém, staje jakiś człowiek przed ministrem policyi i oświadcza, że ma niezawodny sposób pojmania bandytę, lecz zamiast ofiarowanéj pieniężnéj kwoty, żąda łaski, jaką mu tylko sama rejentka wyświadczyć może, dla tego o téj sprawie tylko z rejentką samą mówić sobie życzy.

Minister odpowiedział mu, iż na żądanie jego, mówienia z rejentką zezwolić nie może; za pojmanie zbójcy przyobiecano cztéry tysiące dukatów a nic więcéj, jeźli więc chce tę kwotę zasłużyć, niech tylko dostawi bandytę, a natychmiast mu ją wyliczą.

Nieznajomy potrząsł pogardliwie głową i oddalił się.

Tegoż samego wieczora między *Resiną* i *Terra del Greco,* wykonano tak śmiały i tak okropny rabunek, iż jedno-głośnie mówiono, że tylko Rocco del Pizzo mógł to uczynić.

Na drugi dzień Izabela pytała ministra policyi o szczegóły tego haniebnego czynu. Minister nie wiele mógł powiedzieć; zbrodniarz zniknął i podług wszelkiego prawdopodobieństwa nie umknął jeszcze za granicę, lecz ukrywał się w kraju. Minister spomniał rejentce o tym człowieku, który dniem piérwéj był u niego i przyrzekał pojmać Ricco del Pizzo; powtórzył rozmowę z owym człowiekiem i dodał, iż mu się zdawało słuszną rzeczą odrzucić żądanie nieznajomego, który zamiast pieniędzy, wymagał posłuchania u rejentki, aby mógł sobie szczególną łaskę wyprosić.

»Niesłusznie pan zrobiłeś«, odpowiedziała Izabela. »Rozkaż natychmiast wyszukać tego człowieka i przyprowadź go do mnie.«

Minister wydał niezwłocznie podwładnym rozkazy, opisał im dokładnie postać nieznajomego, zaleciwszy oraz, aby, gdy go wynajdą, jak najgrzeczniéj z nim się obchodzili.

Dzień minął śród daremnych poszukiwań.

W nocy znowu w okolicy *Aversa* popełniono rabunek, jeszcze śmielszy i okropniejszy niżli ostatni. Nikt ani wątpił, iż to Rocco del Pizzo zbliżył się do stolicy. Teraz dopiéro minister policyi szczérze żałował, iż nieznajomego puścił bez odpowiedzi, zwłaszcza, gdy rejentka dwa razy przez dzień przysyłała z zapytaniem, ażali nie powzięto jakiéj wiadomości o nieznajomym, który przyrzekał pojmać bandytę. Lecz minął dzień, a o nieznajomym ani słychu nie było.

Noc przygotowała nową katastrofę. Na ulicy *Amalfi,* znaleziono, skoro świt, trupa, obdartego zupełnie ze sukień, a w piersi jego tkwił jeszcze zabójczy sztylet.' I tę nową zbrodnię przypisywano powszechnie słynnemu Rocco del Pizzo.

W zamordowanym poznano młodego mężczyznę, który znany był pod imieniem: Bastard Rajmund i do najznakomitszéj familii Carraciolo należał. — Dla tegoto tym razem minister policyi rozpaczać począł,

zwłaszcza, gdy natychmiast rejentka powołała go do siebie, skoro powzięła wiadomość o zbrodni.

Udał się do pałacu. Rejentka oczekiwała go z pochmurném czołem. Obok niej stał Antonio Carraciolo, brat zamordowanego; bez wątpienia przyszedł dopominać się sprawiedliwości.

Izabela gniewnym głosem zapytała ministra, ażali odszukał nieznajomego? Nie mógł do woli rejentki dać odpowiedzi. Zleciła mu jeszcze czynić dnia następnego poszukiwania, oświadczywszy oraz, że, jeźli i nazajutrz nie poweźmie o nieznajomym żadnéj wiadomości, lub téż Rocco del Pizzo nie będzie pojmanym, minister policyi ma urząd złożyć. Hrabia Antonio Carraccolo utrzymywał, iż tylko jeden Rocco del Pizzo, mógł taką popełnić zbrodnię.

Smutny i stroskany powracał minister do domu. Wtém po drugiéj stronie rynku ujrzał człowieka, który w płaszcz owinięty, grzał się na jesienném słońcu. Wydał mu się bardzo podobny do owego nieznajomego. — Minister stanął, aby się przekonać, czyli go oczy nie mylą, lecz im więcéj się przypatrywał, tém więcéj utwierdzał się w zdaniu, więc przystąpił do nieznajomego.

Nieznajomy choć widział zbliżającego się ministra, nie uczynił najmniejszego poruszenia. Minister położył rękę na jego ramieniu, jak gdyby się obawiał, by mu nie umknął.

»A, to ty jesteś«, ozwał się.

»A tak, *ja* to jestem«, odpowiedział nieznajomy. »Czego żądasz odemnie *Signore?*«

»Zaprowadzę cię do rejentki, która chce z tobą mówić.«

»Czy tak? Dziś już jest za późno.«

»Jakto za późno?« zapytał minister, który się obawiać począł, czy nieznajomy nie odstąpił od dawnego zamiaru. »Co ty przez to rozumiész?«

»Nic innego jak tylko to, iż gdyby *Signor* przed trzema dniami był to uczynił, co dzisiaj, byłoby w dziejach Neapolu mniéj o dwa rozboje i trzy morderstwa.«

»Alež ty, jak mniemam, nie odstąpiłeś od twego zamiaru.«

»Ja nigdy nie odstępuję od raz powziętego zamiaru.«

»A więc masz jeszcze dotychczas ochotę pojmać Rocca del Pizzo, skoro dostąpisz, czego żądasz.«

»Ani wątpić.«

»I jesteś w stanie to uczynić?«

»Jak łatwo mnie samemu oddać się w ręce sprawiedliwości, tak łatwo mi przychodzi pojmać i dostawić tego bandytę.«

»A więc pójdź za mną.«

»Jeszcze słowo. Czy będę mówił z rejentką?«

»Będziesz.«

»Sam na sam?«

»Sam na sam.«

»Więc idę.«

»Lecz pod warunkiem.«

»Jakim?«

»Abyś na wstępie do pałacu, oficerowi odbywającemu służbę, oddał broń twoję.«

»Czy tego obyczaj wymaga?«

»Tak jest.«

»Więc i to uczynię.«

Nieznajomy szedł spokojnie za ministrem, który co dziesięć kroków się obziérał, ażali jego tajemniczy towarzysz za nim idzie.

Weszli do pałacu.

Przed ministrem stały wszystkie drzwi otworem — tak przybyli aż do przedpokoju rejentki. Ministra wpuszczono natychmiast, podczas gdy nieznajomy oficerowi na służbie oddawał sztylet i pistolety.

W pięć minut później, wyszedł spieszno minister, aby nieznajomego zaprowadził do rejentki.

Minęli dwa lub trzy pokoje — weszli na kurytarz wiodący do drzwi, które były na wpół-otwarte — prowadziły one do pokoju, w którym rejentka zwykle się modliła, a w którym ich teraz oczekiwała.

Minister otworzył drzwi i obadwaj weszli — chociaż nieznajomy podług wszelkiego podobieństwa po raz pierwszy stanął przed tak potężną monarchinią, jednakowo bynajmniéj się nie zmieszał; przywitawszy ją rubasznie — stał nieruchomy i milczał, oczekując zapytania.

»Tyž to przyrzekasz pojmać Rocca del Pizzo?« zapytała rejentka.

»Tak jest, ja.«

»I dotrzymasz przyrzeczenia?«

»W zastaw głowa moja.«

»Jakto? twoja głowa....«

»Padnie, gdybym słowa nie dotrzymał.«

»Ależ to dla mnie, nie wszystko jedno.«

»Inaczéj zaręczyć nie mogę.«

»I cóż za to żądasz?«

»Prosiłem, abym mógł z Jéj król. Mością mówić sam na sam.«

»Ten pan o wszystkiém wiedzieć może«, odparła rejentka.

»Prosiłem o posłuchanie sam na sam — to z mojéj strony piérwszy warunek.«

»Zostaw nas samych Don Luys—« ozwała się rejentka.

Minister skłoniwszy się wyszedł.

Nieznajomy był sam na sam z królową, pomiędzy nimi stał pulpit do modlenia — a na nim, obok wielkiéj biblii, krucyfix.

Rejentka jedném spojrzeniem od stóp do głowy zmierzyła nieznajomego. Byłto mężczyzna koło trzydzieści lat mający, średniego wzrostu, twarzy opalonéj od słońca. Czarny włos w kędziorach spadał mu na szyję, ogniste spojrzenie świadczyło o śmiałéj stałości i odwadze. Jak wszyscy górale był pięknie zbudowany, widać było po nim, iż jest silny.

»Kto jesteś i z kąd przybywasz?« zapytała rejentka.

»Na co komu wiedzieć, jak się zowię, lub téż z kąd przybywam? Jestem kalabryjczyk, a to znaczy, że umiém dotrzymać słowa zawsze i wszędy, więcéj nie potrzeba ci *Signora* wiedzieć.«

»Podejmujesz się przystawić bandytę Rocco del Pizzo?«

»Podejmuję się.«

»I co żądasz za to?«

»Sprawiedliwości!«

»Wymierzenie każdemu sprawiedliwości, jestto powinność, którą pełnię, a nie nagroda, którą wyznaczam. Ale powiedz, dla kogo domagasz się sprawiedliwości?«

»Dla mojéj siostry, którą uwiódł haniebnie!«

»Ktoż?«

»Jeden z twoich dworzan, pani.«

»Któryż?«

»Najmłodszy, najpiękniejszy, i najszlachetniejszego rodu. Ale uważ Wasza król. Mość, że się już wahasz!«

»Nie, bynajmniéj, chcę tylko wiedzieć, co popełnił.«

»Czy otrzymam jego głowę, za głowę Rocca del Pizzo, jeźli czyn jego na śmierć zasłużył?«

»A któż ma wielkość zbrodni ocenić?«

Nieznajomy namyślił się chwilę, potém spojrzawszy przenikliwie na królowę, odpowiedział:

»Sumienie Waszéj król. Mości.«

»Spuszczasz się na sumienie moje?«

»Zupełnie.«

»Dobrze czynisz!«

»Więc będę miał jego głowę za głowę Rocca del Pizzo, jeźli Wasza król. Mość uznasz, że zbrodnia godna kary śmierci?«

»To ci poprzysięgam.«

»Na jaką świętość?«

»Na tę biblię i krucyfix.«

»Dobrze, więc posłuchaj mnie najjaśniejsza pani — całą historyę opowiedzieć muszę: Nasza rodzina zajmuje mały, osobno stojący domek, o pół mili od wsi *Roserno*, między *Cosenza* i *Santa Eufemija*, i składa się z dwojga ludzi starych, mego ojca i matki, i dwojga młodych, mojéj siostry i mnie. Mojéj siostrze imię Constanza.— W koło rozciągają się posiadłości jednego możnego pana, na którego ziemi los nam zdarzył przyjść na świat, przez co poddanymi jego jesteśmy.«

»Jak się zowie ten pan?« rzekła królowa.

»Dowiedz się najjaśniejsza pani piérwéj o czynie, a potém imię sprawcy usłyszysz. Nasz młody pan jest piękny, bogaty, szlachetnego umysłu — a przecież wznieca nienawiść i bojaźń: bo ledwie się pokaże, drży każdy małżonek o żonę, każdy ojciec o córkę, brat o siostrę! Wszystkie zaś występki, które on popełnia, doradzał mu duch piekielny, a tym duchem piekielnym, był jego brat poboczny, zwany Rajmund Bastard.«

»Rajmund Bastard?« zawołała rejentka, »ten co przeszłéj nocy został zamordowanym?«

»Ten sam.«

»Czy znasz jego zabójcę?«

»Ja sam nim jestem.«

»Więc nie Rocco del Pizzo?«

»Ja nim jestem«, powtórzył nieznajomy spokojnie.

*

»Sam więc sobie sprawiedliwość wymierzyłeś?«

»Przed trzema dniami domagałem się tu sprawiedliwości — została mi odmówioną.«

»Czegoż dziś żądasz?«

»Najważniejsza część mojéj zemsty jeszcze nie spełniona, Rajmund Bastard był tylko podżegaczem. Właściwy sprawca zbrodni jest jego brat.«

»Jego brat?« powtórzyła rejentka. »Jego brat! a ten brat, jest Antonietto Carracciolo!«

»Ten sam«, odpowiedział nieznajomy i przeszył wzrokiem rejentkę. Izabela zbladła, oparła się na pulpicie, jak gdyby ustać o swojéj sile nie mogła, lecz wkrótce opamiętała się.

»Mów daléj«, rzekła.

»Spodziéwam się, że imię zbrodniarza nie zmieni wyroku sędziego?«

»Nie, w niczem, przysięgam!«

»Czy na tę biblię i ten krucyfix.«

»Na to oboje — ależ mów daléj«, to rzekłszy, przybrała rejentka tę samą postawę i ten sam wyraz twarzy, jaki miała przed odkryciem okropnéj tajemnicy. Nieznajomy nawzajem tym samym tonem, którym był zaczął, ciągnął daléj przerwane opowiadanie:

»Jednego razu, będzie temu sześć miesięcy, polował hrabia Antonietto w téj części swoich lasów, do któréj nasze mieszkanie przypiéra. Stracił był ślad jelenia; bardzo było gorąco, czuł pragnienie i postrzegł dziéwczynę niosącą na ramieniu naczynie z wodą od źródła! Byłato Constanza, moja siostra.« Na te słowa dreszcz zimny przebiegł po całém ciele rejentki, ale nieznajomy jak gdyby nie postrzegł wrażenia, które słowa jego zrobiły, tak mówił daléj: »Moja siostra miała lat szesnaście, była piękna jak anioł, czysta i skromna jak *Madonna*. Można było przez oczy zajrzeć do głębi jéj duszy, jak przez czystą wodę do dna jeziora, a rodzice, którzy codzień ją uważali, nie dostrzegli w niéj nigdy nawet cienia nieprzyzwoitéj myśli. Constanza nie kochała jeszcze nikogo i powiadała zawsze, że tylko Boga kochać będzie, ale jak już powiedziałem, jak może sama uważałaś królowo, hrabia Antonietto jest piękny, spaniały mężczyzna. Constanza po raz piérwszy w życiu widziała takiego pana, równie jak hrabia Antonietto może po raz piérwszy dziéwczynę tego stanu. Sama nowość była ich ku sobie pociągiem, i gdy się po długiéj rozmowie rozeszli, poczęła Constanza myślić o pięknym, młodym mężczyźnie, i hrabia Antonietto nie mógł sobie pięknej młodéj dziéwczyny wybić z pamięci.« Usta rejentki zadrżały, ani słowa nie wyrzekła. »Wszystko Waszéj król. Mości muszę powiedziéć. Constanza nie wiedziała, żeto był hrabia Carracciolo, miała go za pazia lub sługę z jego orszaku, sądziła, że mogła mu spojrzéć w oczy i pokochać go, bo na chłopkę dość była bogata. — Tam widywali się przez trzy lub cztéry dni, zawsze na drodze od zdroju i na tém samém miejscu, gdzie się piérwszy raz postrzegli; raz zagadali się za nadto długo, a ojciec niespokojny o córkę, wziął strzelbę na plecy i wyszedł naprzeciw niéj. Przy zakręcie ścieżki ujrzał ją siedzącą obok młodego mężczyzny. Na widok ojca skoczyła Constanza jak łania przelękniona, a młody mężczyzna uszedł spieszno w las. W piérwszém uniesieniu wymierzył ojciec strzelbę, chcąc strzelić do niego, lecz Constanza przyskoczywszy, stanęła między nim a uciekającym. Ojciec strzelbę znowu zawiesił na plecach, ale — poznał kto był uciekający, poznał — młodego hrabię.«

»I on to był w istocie?« zapytała cichym głosem rejentka.

»On, niezawodnie. Tegoż samego wieczora rozkazał ojciec żonie i córce opuścić mieszkanie jeszcze téj nocy. Obie miały się udać do ciotki mieszkającéj w Monteleone. W chwili rozstania, wziął ojciec moją siostrę na stronę i powiedział jéj: »Jeźli się z nim raz jeszcze zejdziesz, życie mu odbiorę.«

»Constanza upadła do nóg ojcu, przyrzekła młodego mężczyzny nigdy więcéj nie obaczyć i ze łzami prosiła o przebaczenie. Ojciec pocałował ją w czoło i puścił w niepamięć. Constanza oddaliła się wraz z matką, a następny poranek już ich nie zastał na ziemi hrabiego.«

Rejentka odetchnęła wolniéj.

»Nazajutrz poszedł ojciec do hrabiego. Co między nimi zaszło, nie jest mi wiadomo, ale to wiém niewątpliwie, iż hrabia zape-

wnił go honorem: że o sławę córki nie ma się czego obawiać. Zaraz po tém zdarzeniu hrabia wrócił do Neapolu.«

»Tak, tak, pamiętam jego powrót« — rzekła rejentka, »lecz daléj, daléj!«

»Co daléj? Najjaśniejsza pani—on pamiętał o téj, którą powinien był zapomnieć. Zabawy dworu, uprzejmość znakomitych pań, dumne zamiary i wielkie nadzieje, nie zdołały zatrzéć w jego pamięci obrazu ubogiéj kalabryjskiéj dziewczyny. Obraz ten wszędzie towarzyszył mu we dnie i śnił mu się w nocy. Listy jego do brata wyrażały tęsknotę i rozpacz. — Brat niespokojny o niego, myśląc, że się zakochał w *jakiéj królowéj*, po któréj rękę sięgać mu nie wolno, — przybywa na dwór i wybucha w śmiéch głośny, gdy się dowiaduje, że przedmiotem miłości jego—jest kalabryjska dziewczyna.«

»Śmiészny jesteś mój Antonietto«—mówił brat—»to twoja poddanka, twoja własność.«

»Ależ ja poprzysięgłem ojcu.«

»Co poprzysiągłeś nierozważny?«

»Poprzysiągłem, że córki jego odwidzać nie będę.«

»Dobrze, musisz dotrzymać przysięgi, słowo szlacheckie święte.«

»Widzisz więc, że wszystko dla mnie stracone.«

»Przysiągłeś, że jéj odwidzać nie będziesz?«

»Tak.«

»A jeźli ona sama przyjdzie do ciebie?«

»Ona?«

»Ona sama.«

»Dokąd?«

»Gdzie zechcesz, tu naprzykład.«

»O nie, nie tu!«

»Więc do twego zamku *Rosarno*?«

»Ale mnie tu trzyma..... Neapolu opuścić nie mogę.«

»Ani na ośm dni?«

»Na ośm dni? Ha! — to byćby mogło. Mogę wymyślić jaki powód, aby ujść przed nią na ośm dni.—Nie wiém najjaśniejsza pani, o kim on mówił, i kto go trzymał, ale tak mówił.«

»Ja wiém, wiém«, rzekła królowa bledniejąc,—»ale mów daléj!«

»Więc ty wyjedziesz, jak tylko list mój odbierzesz«, mówił Rajmund.

»Obaj bracia podali sobie na pożegnanie rękę. Hrabia Antonietto został w Neapolu, a Rajmund Bastard odjechał do Kalabryi. W miesiąc potém odebrał hrabia Antonietto list od brata, i trzeba mu przyznać, że słowa dotrzymał. Ruszył w drogę jeszcze tego samego dnia.«

»Nie trać cierpliwości najjaśniejsza pani, przystępuję już do rozwiązania.«

»Ja cierpliwości nie tracę, ale mnie przeraża twoje opowiadanie«, rzekła królowa.

»W blizkości studni kogoś zabito, mój ojciec wracając w téj chwili z polowania, znalazł nieszczęśliwego, pospieszył mu w pomoc, a gdy na próżno usiłuje przywołać go do życia, wybiega z lasu dwóch ludzi Rajmunda, i mego ojca przytrzymują jak zabójcę. Na nieszczęście strzelba mojego ojca była wystrzelona, i przez przypadek, który tylko Rajmund, gdyby żył, mógł był wytłumaczyć, kula wydobyta z rany, była właśnie do miary strzelby mojego ojca. Sprawa była krótka. Dwaj słudzy świadczyli w ten sposób, iż sędzia nie mógł sie długo namyśiać. Na mego ojca wypadł wyrok śmierci. Matka i siostra otrzymały na raz wiadomość o zdarzeniu, o sprawie i o wyroku; opuściły *Monte-Leone* i dostały się do *Rosarno* tegoż dnia, w którym hrabia Antonietto na wezwanie brata z Neapolu przyjechał. Hrabia Antonietto, jako pan *Roserna*, miał prawo miecza; życie lub śmierć mojego ojca, były w jego ręku. Matka nie wiedziała o przybyciu hrabiego, ale spotkała Rajmunda, który ją o tém szczęśliwém zdarzeniu uwiadomił, i radził iść zaraz z córką do zamku i prosić o łaskę dla męża; lecz nie było czasu do stracenia, bo wyrok miał nazajutrz być wykonany. Kroku tego, który zdawało się, że litość Rajmunda doradzała, nie wahała się matka uczynić. I wziąwszy córkę, któréj powrót hrabiego nie był wiadomy, jeszcze w dniu jego przybycia udała się do zamku. Matce miłość hrabiego nie była wiadoma i Constanza nie wiedziała, że jéj kochanek był hrabią. Wszystko Rajmund przygotował. Ledwie weszły do zamku, usłyszały od sług, że do hrabiego wejść nie mogą tylko po jednéj. Matka więc weszła, a Constanza czekała.—Hrabia przyjął moją matkę z twarzą surową. Rzuciła mu się do nóg, błagała i płakała—Antonietto był nieugięty, zbrodnia spełniona, sprawca przekonany, on wyroku sprawiedliwości zmienić nie może, krew przelana domaga się krwi. — Matka w rozpaczy wyszła z pokoju hrabiego.«

»Gdzież ty byłeś wtenczas?« spytała rejentka.

»Na drugim końcu Kalabryi, w Tarencie lub Brendisi, słowem, za daleko, aby wiedzićć, co się działo. Matka odchodząc, chciała córkę wziąć z sobą.«

»Teraz na mnie koléj«, mówiła Constanza, »muszę i ja żal mój zanieść, może będę szczęśliwsza.«—Matka rzuciła się osłabiona na krzesło, bo już nie miała nadziei, siostra weszła do hrabiego.«

»Nie wiedziałaż, że hrabia jéj kochanek?«

»Mówiłem, że nie wiedziała, może i wiedząc byłaby weszła: ojciec ginął—ojca śmierć czekała.«

Izabela zapłonęła gniewem, po chwili dodała: »Mów daléj, słucham.«

»Nastąpiła chwila srogiéj niepewności, po któréj wyszedł sługa z papiérem w ręku. »Hrabia ułaskawia skazanego zupełnie. Oto jest pismo z jego pieczęcią.«

»O, dzięki, dzięki«, zawołała matka, całowała w uniesieniu podpis hrabiego, i chciała z niém wybiédz. Na raz wstrzymała się i spytała: »A moja córka?« — »Śpiesz tylko do więzienia, córka wyszła drugiémi drzwiami, znajdziesz ją w domu.« — Matka upojona radością, biegnąc przez ulicę miasteczka, wołała: »Mam ułaskawienie, mam ułaskawienie!« i wpadła w drzwi więzienia, od których ją wprzód dwa razy odepchnięto — a które jéj teraz otwarło ukazane pismo. — Zaprowadzono ją do więzienia ojca, który już tylko kata oczekiwał. Niosła mu życie miasto śmierci. — W piérwszéj chwili w tym przybytku rozpaczy, panowała niewysłowiona radość, potém zaczął ojciec wypytywać ją o szczegóły: jak się dowiedziała o jego uwięzieniu, jak się dostała do hrabiego i tam daléj. — Matka opowiadała, ojciec słuchał ją i przerywał; wkrótce pojedyńcze tylko słowa, drżącym wymawiał głosem, sparł głowę na obu rękach, pot wystąpił mu na czoło, rumieniec wstydu zaczerwienił jagody, a gdy matka wyrzekła, że wpuściła Constanzę do hrabiego, skoczył jak lew raniony i rzucił się do drzwi. Drzwi były zamknięte. — Porwał kamień, który mu służył za poduszkę i całą siłą bił w żelazne zasuwy, które sądził, że miał prawo otworzyć.«

»Na ten odgłos przybył dozorca więzienia i spytał, czego żąda.«

»Wyjść z tąd, wyjść natychmiast!«

»Niepodobna.«

»Mam ułaskawienie, mam je tu w ręku.«

»Dobrze, ale tam stoi, że dopiéro jutro rano będziesz wypuszczony.«

»Jutro rano?«

»Czytaj sam, jeźli nie wierzysz?«

»Ojciec przystąpił do lampy, czytał i czytał. Tak stało, jak mówił dozorca.«

»Przez przypadek, omyłkę czy z umysłu, wypuszczenie jego z więzienia — było odłożone do następnego poranku.«

»Więzień słowa nie wyrzekł. W milczeniu i smutku wróciwszy ode drzwi, usiadł na posłaniu.«

»Matka uklękła przed nim. »Co ci jest«, spytała?«

»Nic.«

»Czego się obawiasz?«

»Ach, nie wiele.«

»Mój Boże, co ty myślisz, czego się obawiasz?«

»Myślę, że C o n s t a n z a stała się niegodną ojca, i więcéj nic.«

»Matka się porwała z przestrachem. »To być nie może.«

»Czemuż być nie może?«

»Powiedziano mi, że wyszła drugiémi drzwiami, i będzie na mnie czekać w domu.«

»Pójdź więc do domu, obacz czy jest, a jeźli ją zastaniesz, wracaj do mnie.«

»Wrócę natychmiast.«

»Zapukała, aby jéj otworzono, co zaraz się stało. — Pobiegła do domu — dom próżny — C o n s t a n z y nié ma. — Wróciła do zamku i pytała o córkę. Powiedzieli, że nic o niéj nie wiedzą. Wróciła do domu, C o n s t a n z y nie było. Czekała do wieczora, C o n s t a n z a nie nadeszła. — Wtedy przypomniała sobie męża i puściła się znowu ku więzieniu, ale smutno i tak powolnym krokiem, jak gdyby szła za ciałem córki do grobu. — Drzwi więzienia otworzono jéj bez trudności.«

»Zastała męża siedzącego na tém samém miejscu, a choć usłyszał jéj wejście i poznał ją, głowy nawet nie podniósł. Matka uklękła przed nim i sparła głowę na jego kolanach.«

»Możesz pomyślić królowo, jaką noc przepędzili.«

»Nazajutrz ze świtem uwolniono więźnia. Powiedziałem już«, dodał z przyciskiem, »że hrabia C a r r a c c i o l o jest pan szlachetny i dotrzymuje słowa.«

»Moi rodzice podpierając się wzajemnie opuścili więzienie. Przez jedne noc postarzeli się o lat dziesięć. — Na zawrocie gościńca, z kąd można było ich dom widzieć, spostrzegli Constanzę klęczącą u progu. Nie przyspieszyli kroku, i córka się nie podniosła, aby naprzeciw nich wybiédz. — Gdy się zbliżyli, Constanza złożyła ręce i wyrzekła tylko jedno słowo: »Przebaczenia!« — Nieświadomie wyciągnęła matka rękę pomiędzy mężem a córką. Ojciec ztrzymał ją łagodnie.«

»Przebaczenia!« mówił, podając córce rękę. »Przebaczenia! I za cóż przebaczenia? Czyż ty moje dziécię nie anioł, nie swięta, nie męczennica?« I pocałował ją. — I gdy matka z córką weszły do domu, wziął strzelbę ze ściany, zawiesił ją na plecach i puścił się ku zamkowi. — Chciał podziękować hrabiemu. — Hrabia przed godziną odjechał był do Neapolu.«

»Chciał podziękować Rajmundowi. Rajmund odjechał z bratem.«

»Wrócił więc do domu i zawiesił strzelbę na ścianie.«

»Matka i Constanza posłyszały, że coś ciężkiego upadło na ziemię, przybiegły i znalazły go bez pamięci na ziemi.«

»Podniosły go i położyły na łóżku, Constanza została przy nim, matka pobiegła po lékarza.«

»Lekarz nie robił radzici, ale kazał choremu krew puścić. Ku wieczorowi mój ojciec otworzył oczy. — Właśnie mnie wracającego z podróży obaczył na progu. Nie widział ani żony ani córki, tylko mnie jednego. »Synu, synu!« zawołał. »Zemsta boża cię tu sprowadza!« — Rzuciłem się w jego ramiona. — »Odejdźcie«, mówił do kobiet; »i zostawcie nas samych.«

»Wtedy usiadł na łóżku i rzekł do Constanzy, która chciała pozostać. »Odejdź za matką, jeźli chcesz abym ci błogosławił.« — Constanza ucałowała jego rękę, ścisnęła mnie z płaczem i odeszła za matką. — Złożyłem broń na stół i ukląkłem przy łóżku.

»Boska zemsta cię tu sprowadza«, powtórzył. »Słuchaj mnie synu i nie przerywaj, bo czuję, że umrę za kilka minut.« — I opowiedział mi wszystko. — Im dłużej mówił, tém silniejszy stawał się głos jego, tém żywszym gniewem pałały oczy, jak gdyby był zdrów i w całéj sile. W końcu dopiero głos słabiał, przy ostatnich słowach głowę spuścił, i za chwilę już nie żył. — Długo nie chciałem uwierzyć, długo wstrząsałem nim, i wołałem; poczułem nakoniec, że ręka ziębnie w mojéj ręce. Wtedy zamknąłem mu oczy, złożyłem ręce na krzyż na piersiach, i pocałowawszy go raz ostatni, twarz mu zakryłem, i otworzywszy drzwi, zawołałem matki i siostry. »Pójdźcie«, mówiłem, »zmówcie pacierz za jego duszę.«

»Obie ze łkaniem uklękły przy łóżku, jam wziął broń ze stoła i szedłem ku drzwiom. — »Dokąd bracie«, zawołała Constanza. — »Gdzie Bóg mnie woła«, odpowiedziałem, i nim zatrzymać mnie mogła, zniknąłem w cieniu lasu.«

»Szedłem prosto do Neapolu. Powiadano mi, żeś najpiękniejsza, a razem najsprawiedliwsza z królowych. Przyszedłem tu błagać cię o sprawiedliwość.«

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Jan Jul. Szczepański, nauczyciel języka polskiego w akademii realnej i handlowej, nie ustając w rozpoczętym zawodzie, aby obok znajomości niemieckiego, także i znajomość polskiego języka między młodzieżą szkolną rozszérzać, przełożył: *Kleine Erzahlungen*, powiastki dla dzieci, przepisane dla pierwszej klasy normalnej, tak wiernie i dosłownie, iż dziécię mając pod ręką text niemiecki, znaczenia wszystkich wyrazów, samo się nauczyć może.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 1. i obejmuje: 1) Wstęp. 2) Sposób wytępienia z roli łopuchy. 3) Co korzystniéj, czy dawać bydłu długą słomę, czyli sieczkę? 4) Chów bydła uważany z stanowiska gospodarskiego. 5) Kilka słów z doświadczenia czerpanych, względem częstego upadku fabryk cukru burakowego. 6) Wiadomości czasowe.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 1. i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Nowy rok, obraz fantastyczny. 2) O wszystkiém, przez Leszka Dunina Borkowskiego.

Piramida olbrzymia jako pomnik niepodległości Ameryki północnéj. Wszystkie pomniki kunsztu w kraju Greków i Rzymian, przez wandalizm czasu rozsypały się w gruzy, i mało tylko szczątków, po większéj części w ukryciu ziemi, aż do naszych czasów przetrwało. Może ten sam los spotka liczne pomniki, które w teraźniejszéj epoce dla sławnych dzieł sztuki, literatury i t. d. w różnych krajach po wystawiano. Piramidy egipskiego państwa przetrwały aż do naszych dni wszelkie burze czasu i wojen. Dzieje zbudowania ich ukryte są w pomroce wieków, atoli szczyt tych tysięczno-letnich monumentów jaśnieje po dziś dzień w blasku słońca. Widząc znikomość pomników rzeźbiarskich, odezwało się kilka głosów w dziennikach Stanów Zjednoczonych, by na wieczną pamiątkę roku 1776, w którym to reprezentacyjne wolne państwo powstało, za przykładem królów egipskich wystawiono piramidę, do którejby się każdy mieszkaniec kamieniem, to znaczy datkiem podług swego mienia przyczynił. Gdy w czasie po upływie wielu tysięcy lat może inne języki na tej ziemi zakwitną, a już ani śladu kosztownych i spaniałych gmachów osadników teraźniejszych nie będzie; wtedy kamienie téj olbrzymiéj piramidy śmiało jeszcze będą poglądać w obłoki i świadczyć o plemieniu, które już zaginęło.

Nie budźcie lwa śpiącego! Najnowszy numer jednego z pism francuzkich zawiéra co następuje: Chiny opasały się murem jakby tarczą przeciwko obcéj broni. Mur ten jako warownia, utracił z czasem swą użyteczność i rozsypał się poczęści w gruzy. Chiny przez zestarzały skład swego rzędu pojawiają się jako skamieniałe państwo, jako żyjąca tysięczno-letnia mumija. Ten skład rządu uważano za drugie przedmurze dla uniknienia zetknięcia się z zagranicą. Chiny spały z swemi czterysta milijonami mieszkańca, między którymi jest dwa milijony żołnierzy, jak lew w jaskini, swobodnie, bez troski, bez obawy wszelkiego niebezpieczeństwa i bez potrzeby sprężystego użycia swoich sił wrodzonych. Działa angielskie obudziły śpiącego lwa ze snu i kolące bodźcem, ocknęły go z letargu. Biada wam! jeżeli ten lew powoli się rozruszy, na nogi powstanie, cielsko swoje rozciągnie, siły kłów i pazórów swych doświadczy, a potém się z ogromną przemocą na garstkę swych nieprzyjaciół rzuci. Wtedy Europa chcąc nie chcąc będzie musiała uczyć się języka chińskiego!

Autorowie z zmyślonem nazwiskiem byli już w najdawniejszych czasach, i w ogóle między wszystkiemi narodami, które literaturę miały. Przybrane nazwisko podobne było już od dawna do zasłony, pod którą się nie jeden uczeń Apolina z rozmaitych względów ukrywał, by jako przyczajony za krzakiem strzelec puszczać mógł na świat albo przytępione, albo też w żółci umaczane strzały. Jednakże oddać należy sprawiedliwość autorom starożytnym, że oni odmieniając swoje nazwisko, nie mieli zamiaru zapierać się dzieł swoich, jak to za naszych czasów się dzieje. I owszem, zwyczajem ich było na wszystkich późniejszych rękopismach nie tylko wymieniać swe nazwisko, ale nawet dawać sobie szumne pochwały. I tak Cycero przedrwiwa bardzo dowcipnie słabość owczesnych autorów, którzy kładli swe imię na rękopismach, a w nich cudzej sławie uwłaczać się starali. Później, między chrześcijańskiémi autorami zmyślanie nazwiska powszechnie weszło w modę. Ojcowie kościoła, historycy, filozofowie i filologowie, przybiérali bardzo często do imienia familijnego także imię autorskie, pod którém uczonemu światu szczególnie byli znani. I tak sławny Teofrastus zwał się Tyrtamus, a Porfyrus kazał się w swej młodości Malchusem nazywać. W przybraniu tém obcych nazwisk, częstokroć niesumiennie sobie postępowano. Wirgilijusz Tafus, przybrał imię świętego Atanazego, pisząc przeciw Aryjanom, dla których imię tego ojca kościoła postrachem było; a sławny Erasmus Roterodamus, w późniejszym czasie w jednéj swych z rozpraw przezwał się Ś. Cypryjanem.

Tak pisali autorowie pod pokrywą zmyślonego nazwiska spokojnie aż do roku 1555. Nareszcie wyszło we Francyi rozporządzenie, które »*fit défenses à toutes sortes de personnes de changer leurs noms sans lettres de dispense, à peine d'être punies comme faussoires et dégradés de noblesse.* Na mocy tego rozporządzenia skarano we Francyi w saméj rzeczy pieniężną karą kilku autorów, którzy do odmiany swego nazwiska osobnym przywilejem upoważnieni nie byli. A że z podobną surowością postępowano sobie także w innych krajach, okazuje się z doniesienia Majoragus'a, którego w Medyjolanie przed sąd za to stawiono, że pod swoje prawdziwe familijne, inne imię podsunął. Dla zapobieżenia bezimiennemu rozkrzewianiu błędnych nauk, zadekretował sobor trydencki, aby żadnego dzieła o przedmiotach teologicznych bez prawdziwego nazwiska autora nie ogłaszano. Zakaz ten rozciągnął Ludwik XIII. roku 1626 na wszystkie książki bez różnicy. Jednakże gdy późniejszémi czasy surowość tę cokolwiek złagodzono, zaczęły wychodzić dzieła wszelkiego rodzaju bez nazwiska lub téż z przybraném i fałszywem nazwiskiem autora.

Ptak podrzyźniacz. W naszych lasach mamy ptaka z pięknémi niebieskiémi piórkami, to jest sojkę, do rodzaju kawek należącą, któraby polską papugą nazwać można, gdyż nięta w niewolą, nauczyć się może jak najdokładniéj różne głosy naśladować. P. Pfyffer, autor dzieła: »*Bilder aus dem Orient*« mówi: iż słyszał sojkę, która szczekała, miauczała i wołała: »Jakób« tak wyraźnie, że się oglądał za psem, kotem i człowiekiem, który »Jakob« wołał; aż mu nareszcie pokazano w klatce tego pięknego ptaka, który tak go złudził! Atoli jeszcze większą zdolność do naśladowania ludzkiego głosu, ma drozd żartowniś (*Spottvogel, Spottdrossel, turdus polyglottus*), którego Mexykanie zowią ptakiem z cztérystą językami. Jest on prawda szary i niepozorny, ale przyjemnością głosu przechodzi nawet *słowika rudego*, tém bardziéj, gdyż umie naśladować głosy wszystkich niemal ptaków. Gwiżdze na psa tak, jak słyszał od swego pana, naśladuje pisk spłoszonego kurczęcia tak dokładnie, że stara kwoka z rozpostartémi skrzydły w pomoc spieszy, a potem z zadziwieniem ogląda się, gdzie jéj pomoc potrzebna; szczeka jak pies, miauczy jak kot, warczy jak kołowrotek, kwili jak słowik, świergoce jak jaskółka, kracze jak wrona, gdacze jak kokosz, słowem, wyprawia tysiączne tak zabawne sztuczki, że niemi nawet samego właściciela częstokroć w błąd wprowadza. P. Pfyffer miał takiego świegotnisia, który tak doskonale umiał naśladować żywą sprzeczkę dwóch osób, jak aktor z powołania. Pewnego razu nabawił ten żartowniś swego właściciela wielkiego kłopotu, gdyż tak do złudzenia naśladował kaszel pewnego hypochondryka, który bywał w domu p. Pfyffera, i tak się szydersko z niego naśmiewał, iż hypochondryk myślał, żemu się gospodarz w niebytności jego podrzyźnia. Nakoniec sam na własne oczy przekonał się o dramatyczym talencie tego uprzywilejowanego żartownisia. Wypadek ten zakrawa wprawdzie na bajkę, »ale to jest rzecz istotna«, mówi pan Pfyffer, »i w dawnych czasach mianoby tego ptaka za prawdziwą metamorfozę.«

Nowe barometry. W Paryżu robią teraz barometry, które się prawie bajecznemi być zdają. Barometry te odbywają ruch, jakiby tylko mechanika do skutku przywieść mogła, a przecież cały ten cud dwie tylko struny sprawiają. Jestto plastyczny obraz przedstawiający wiejską okolicę, w której się dwoje kochanków spotyka. Dama ma parasolkę a kawaler deszczochron. Gdy jest piękna pogoda, parasolka rozpina się jak baldaszek nad głową damy, a deszczochron spoczywa złożony w ręku kawalera. Gdy zaś deszcz pada, składa się parasolka, a słońco-chron kawalera rozpościera się jak namiot nad obojgiem. Chociaż ten figiel kosztuje 40 frank., jednakże wynalazca jego, optyk Gispert, już przeszło 1000 sztuk po największéj części Anglikom sprzedał.

Ubierajcie się skromnie. Najpiękniejszą damą w Paryżu jest pani Laurenzin. Jako wdówka, mająca lat 26, zwraca na siebie uwagę całéj francuzkiéj stolicy i podoba się nietylko mężczyznom, ale nawet młodym i starym damom. Anglik Dist opisując płeć piękną we Francyi, mówi o pani Laurenzin jak następuje: »Nigdy nie widziałem piękniejszéj, powabniejszéj niewiasty, nawet w Anglii. Uważałem ją na balach, w teatrze, na koncertach, wszędzie występowała ona jak królowa piękności, jak perła towarzystwa. Miałem to szczęście być jéj przedstawionym; nie mogłem na sobie przenieść, aby jéj nie powiedzieć, że jest najpiękniejszą damą w świecie. Ona uśmiechnąwszy się odrzekła: »Każda z obecnych tutaj dam jest piękna, jeźli temu wierzyć mogę, że ja piękną jestem; wiele z nich jest daleko piękniejszych odemnie. Ja nic mam żadnéj innéj tajemnicy jak tylko tę, że się ubrać umiém, i zachowuję skromność w ubiorze, a to jest właśnie co się podoba. Jeżeli wpan nie chcesz temu dać wiary — proszę zobaczyć mnie jutro w teatrze, ja się ustroję, ustroję tak, jak te damy, a zaręczam, że zaledwie spostrzeżoną będę.« — Ośmieliłem się oswiadczyć w téj mierze moją wątpliwość, atoli pani Laurenzin naparła się, abym się jej nazajutrz przypatrzył w loży. Pojechałem do teatru. Szukałem i nie mogłem jéj prędko wynaleźć. Nakoniec spostrzegłem dość przystojną kobiétę w kosztownéj szacie, w kapeluszu *à la Duchesse d'Orleans* na głowie z drogiémi piórami i kosztownym naszyjnikiem. Ukłoniła się mi uprzejmie. Byłato pani Laurenzin. Przystojną była prawda, ale nie piękną; uderzającą, ale nie powabną. Strzeżcież się przesady i ubierajcie się skromnie piękne damy, jeźli istotnie pięknémi być chcecie.

Bej tunetański, jest najmodniejszy człowiek w Afryce. Pali cygaro, chodzi z laską, w któréj jest flet ukryty, ma w każdym pokoju zégar grający, przytém dwie papugi, z których jedna po francuzku a druga po angielsku gada; nie występuje publicznie jak tylko w żółtych rękawiczkach *glace*, spędza czas na dagerotypowaniu, spija szampana, a faworyta jego musi mu codziennie przegrywać na fortepijanie. Nie schodzi mu więc na niczem, jak tylko jeszcze na kolejach żelaznych i na homeopatyi, a wtedy będzie już miał wszystko!

Fanni Elssler. W Berlinie wyrysowano karykaturę na tę uwielbianą tancerkę dwóch części świata. Ameryka przedstawiona jest jako osoba z ogromnym nosem, na którym Sylfida baletu tańczy i osobie téj piaskiem w oczy proszy. Obok niéj stoi Europa i mówi: »I mnie także!« W głębi obrazu pojawia się angielski bank z swémi skarbami, a Fanni wskazując nań mówi: »Tam spocznę, na angielskiém złocie i na zmiękczoném amerykańskiém sercu!«

Pewien szlachcic musiał przed kilkoma laty w Londynie w izbie gmin na klęczkach prosić o przebaczenie. Po skończonym akcie, obtrzepawszy pył z swych spodni, rzekł: »W życiu moim nie byłem jeszcze w tak brudnéj izbie.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.